

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Fig. 11. Muszelki otwornicy silnie powiększone. N. 1, 2, 3, 4, 5 i 7 w podłuż przecięcie, aby poznać wewnętrzną ich budowę.

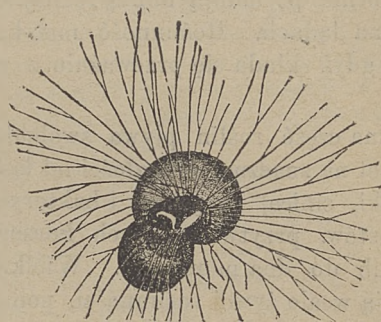


Fig. 12. Otwornica z rozpostartymi niby nóżkami.

ŻYCIE W OCEANIE

PRZEZ

Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).



Fig. 13. Kawałek wapienia, zawierający muszelki zaginionych numulitów, największych ze wszystkich otwornic. Wielkość naturalna.

Jest wiele gatunków bakteryj, do najciekawszych atoli należą bakteryje świecące, których morze zawiera kilka gatunków. Dostrzegano już nieraz, że nieżywe ryby morskie świecą się, gdy ciało ich nie jest jeszcze w stanie gnicia. Nie wiadomo czemu przypisać to zjawisko. Wreszcie Pflüger pierwszy odkrył w 1875 r., że tak często świecące się w ciemności martwe ryby, zawdzięczają swe światło bakterjom morskim, które rozmnożyły się na skórze ryb i świecą, jak świętojańskie robaczki. Później przekonano się, że częste świecenie się mięsa w jatkach pochodzi także z przyczyny bakteryj. Zdarza się niekiedy, że cały sklep z mięsiwem świeci fosforycznym blaskiem, jak gdyby iluminowany. Bakteryje, żyjące na rybach morskich, wydają światło niebieskawo białe, a niekiedy zielone, jak szmaragd.

W kilka lat po odkryciu Pflügera, Rafael Dubois poznał dwa gatunki świecących bakteryj, stale obierających sobie siedlisko już nie na martwych lecz na żyjących zwierzętach morskich, niekiedy na takich, które

same wydają ze siebie światło. Takich związków świecącej rośliny ze świecącym zwierzęciem prawdopodobnie przyrodnicy odkrywają z czasem więcej.

Świejące bakterie chociaż niewidzialne gołym okiem przyczyniają się w znacznej mierze do jednego z najciekawszych i najświetniejszych zjawisk morskich. Zjawisko to zwiemy *fosforescencją* albo iskrzeniem się morza o czym pomówimy niżej obszerniej.

Bakterie świejące, niezmiernie liczne w morzu, żyją nie tylko na nieżywych rybach, ale na wszelkich szczątkach organicznych, byleby nie gnijących. Gdy przypływ morski porusza te szczątki organiczne, rozrzucone między kamieniami na wybrzeżu, wówczas iskrzenie bakterij staje się silniejsze. Owe blaski fosforyczne mogą ukazywać się na przedmiotach, które zanurzone były w wodzie morskiej; np. jeżeli wstrząsać mokrą odzieżą kąpielową, to wyrzuca ona ze siebie rzęśiste iskry.

Zakończenie. Jeżeli rzucimy teraz okiem na całość opowiadania o roślinach morskich, to dojdziemy do wniosku, że oceany i morza istotnie posiadają obfitą roślinność, chociaż mniej bogatą niż na lądach. Roślinność morska należy do najniższego typu, gdyż składa się przeważnie z *głonów* rozmaitego gatunku.

Znaczna część roślin pływa swobodnie po powierzchni morza, nawet na znacznej odległości od lądów; do nich należą: okrzemki, sinice, sargasum i bakterie. Lecz najwięcej jest wodorostów, przytwierdzonych korzeniami do skał podwodnych lub do dna morskiego. Wielkie głębiny morskie nie posiadają wcale żywej roślinności, ponieważ nie dochodzą do nich promienie słońca, niezbędne dla roślin. Niżej 300 metrów znika wszelka roślinność w morzu.

Widzieliśmy tutaj, że morze posiada niezmiernie łąki pływające na powierzchni, owe łąki stałe, rozesłane jak kobierce na skałach i na dnie wody, posiada ona również miniatury lasy i gaje w których zamiast grzybów różnobarwnych znaleźlibyśmy mnóstwo najpiękniejszych muszli, a zamiast kwiatów szkarłatne i fioletowe krasnorosty, zastępujące najwięcej barwne kwiaty. Prócz tego widać tu i owdzie ciągnące się sznury roślin, które za łada wirem wody wiją się jak robaki, kręcą się jak węże, falują niby wstęgi, drgają jak długie ramiona jakiegoś potwora potężnego, ukrytego na dnie morza. A cała ta roślinność wre i kipi życiem zwierzęcem, podobnie jak na lądach; kryje się w niej pełno wszelakich istot, szukających tu pokarmu i schronienia, lub w cieniu gęstwiny urządzających zasadzki na inne zwierzęta. Te ciche ustronia wodne są świadkami wielu radości i smutków, obok scen dramatycznych orszaki weselne widać tu na każdym kroku. Poznamy zresztą wkrótce, jacy są mieszkańcy tych łąk i gajów morskich, gdyż właśnie rozpoczynamy opowiadanie o życiu zwierząt.

II.

Fauna pobrzeżna.

Pobrzeżne pasy wody morskiej gęsto porośnięte roślinnością, ściągnęły z odległych stron liczne zwierzęta, które obrały tu sobie siedlisko, właśnie dla tego, że znalazły bezpieczne schronienie oraz obfity pokarm roślinny; za zwierzętami roślinnymi podążały zwierzęta mięsożerne. Tym sposobem płytka woda zyskała licznych mieszkańców. Dodajmy zre-

szę, że oprócz obfitego pokarmu pobrzeżna woda morska posiada wiele innych warunków, sprzyjających rozwojowi zwierząt i dlatego spotykamy tu nader liczne gatunki. I tak koło wybrzeży łatwiej jest oddychać, niż w innych częściach morza, tu woda bowiem szybciej miesza się z powietrzem w skutek ciągłego uderzania fal o wybrzeże, a powietrze potrzebne jest do oddychania zarówno zwierzętom wodnym jak lądowym.

Powtóre, płytka woda otrzymuje największą ilość światła i ciepła, ponieważ promienie słońca łatwiej przechodzą przez cienkie warstwy wody; ale, w zamian za to, ilość ciepła i światła wciąż się tu zmienia, wedle pory dnia i roku. Zobaczymy później, że w głębinach morskich temperatura jest stałą. Morze wzdłuż wybrzeży odznacza się wielką ruchliwością: woda faluje prawie nieustannie w skutek przypływów i odpływów; prócz tego spotykają się tu i rozbiegają w rozmaite strony liczne prądy morskie.

Pomimo takiej ruchliwości wody zwierzęta, zamieszkujące pobrzeżny pas, doskonale przyzwyczały się do rozmaitych warunków fizycznych, w których żyją. Posiadają one najrozmaitsze narzędzia, ułatwiające im walkę z licznymi nieprzyjaciółmi, z burzami, a zwłaszcza z niebezpiecznym dla nich odpływem morza, ponieważ przez kilka godzin pozostają prawie bez wody. Zagrzebują się one wówczas w mokry piasek, czepiają się skał lub prześwidrowują nawet takowe i chowają się do tych kryjówek. Inne jeszcze zwierzęta wypuszczają ze swego ciała płyny, które krzepnąc wytwarzają twarde muszle lub prawdziwe pancerze ochronne, jak np. u raków.

Godnem jest uwagi, że najczęściej u zwierząt morskich młode nie są podobne do swych rodziców; przechodzą zatem liczne przeobrażenia, jak nasze motyle. Wszyscy wiemy, jak olbrzymią jest różnica między powolną i żarłoczną liszką, nieruchomą poczwarką, a zwinnym skrzydlatym motylem, a jednak liszka, poczwarka i motyl są to trzy fazy rozwoju jednego zwierzęcia. Podobne przemiany istnieją i u wielu zwierząt morskich.

Niewykształcone młode zwierzęta prowadzą często inny tryb życia, niż dorosłe. Naprzykład, wszyscy wiemy, że liczne gatunki zwierzęce prowadzą żywot osiadły i jak rośliny przystają do dna morza lub do kamieni. Do takich zwierząt zaliczają się między innymi gąbki, koral, niektóre raki, lilie morskie i ostrygi. Otóż zauważyć należy, że w młodym wieku zwierzątka te pływają sobie swobodnie w morzu, jak wiele innych zwierząt i dopiero gdy podrosną i poznają nieco życie, osiadają na jednym miejscu i nie opuszczają go już aż do śmierci.

Przejdźmy teraz do opisu rozmaitych mieszkańców morza.

Aby mógł żyć, zwierzęta nie potrzebują bynajmniej tak skomplikowanych części ciała, jakie istnieją u ludzi. Najprostsze ze wszystkich żyjących istot, mają ciała składające się jedynie z drobnuchnej kropelki galarety, zwanej *protoplazmą*. Ta żyjąca galareta nie ma żadnych narzędzi, najczęściej brak jej nawet otworu gębowego; pomimo to galareta żyje, rusza się, czuje ciepło, światło oraz dotyk obcego przedmiotu. Takie najprostsze żyjątka na świecie nazwano ogólnie *pierwotniakami*. Miewają one jednak najrozmaitsze kształty, niekiedy bardzo piękne i zadziwiająco regularne, dzięki skorupce. Szkoda tylko, że istotki te są zawsze bardzo drobne, widzialne jedynie pod mikroskopem. Galaretowate cia-

ło pierwotniaków zmienia powoli miejsce, ponieważ galareta rozplywa się strugami na wszystkie strony w postaci ciemnych niteczek, które z powodu ich wyglądu nazwano *nibynózkami*. Nibynózki są bardzo zmienne: to wypływają, to się znowu chowają do wnętrza ciała; ukazują się w jednym tylko miejscu lub na całej powierzchni i tym sposobem poszukują ciągle żywności, a gdy ją napotkają, to otaczają dokoła i albo wysysają natychmiast soki, albo wciągają do wnętrza galarety, jeżeli nie okrywa jej skorupka.

Morze zawiera nieskończoną ilość pierwotniaków, każda nawet kropelka wody posiada ich mnóstwo. Ciała tych istotek morskich niekiedy bywa zupełnie nagie, ale najczęściej odkryte jest skorupką wapienną lub krzemionkową, nadzwyczaj misternej roboty i tak rozmaitych kształtów, iż odniany ich rachują się na tysiące.

Najliczniejsze w morzu są tak zwane *otwornice* (*Foraminifera*) zamknięte w skorupkach wapiennych, najczęściej podziurawionych jak sito. Pod mikroskopem wyglądają one zupełnie podobne do małych mięczaków (patrz fig. 11), jednakże są to istotki bardzo proste: całe wnętrze muszelki wypełnione jest szklistą masą, podobną do surowego białka, bez śladu jakichkolwiek organów. Niteczki tej galarety wypływają przez otwory muszelki i szukają pożywienia, a zarazem przesuwały zwierzątko z miejsca na miejsce. (Patrz fig. 12). Otwornice są najczęściej niewidzialne gołym okiem, jednakże posiadają one pierwszorzędne znaczenie na naszej ziemi, z powodu iż wciąż budują nowe pokłady dla przyszłych lądów. Skorupki ich od najdawniejszych czasów spadały na dno morza i gromadziły się tam warstwa na warstwie w ciągu wielu, wielu wieków, tak, iż w końcu te osady morskie wytworzyły grube pokłady wapienne.

W wielu miejscach pierwotne morza zniknęły, a wapienne dno morskie stało się suchym lądem i dostarcza nam materiału budowlanego, na przykład kamień wapienny z którego budują domy w Paryżu i Berlinie, oraz skała użyta do wystawienia egipskich piramid przeważnie składa się ze skorupki otwornic. Tym sposobem ludzie budują sobie pałace i pomniki ze szkieletów najprostszych w świecie zwierzątek, które żyły na miliony lat przed nami. (Patrz fig. 13).

Wreszcie kreda do pisania zawiera mnóstwo skorupki tych morskich istotek. Otwornice są prawdopodobnie najliczniejsze ze wszystkich zwierząt w Oceanie, dno wszystkich prawie mórz wysłane jest ich cieniuchnymi muszelkami, a piasek morski składa się głównie z ich skorupki, tak, iż jeden gram piasku zawiera niekiedy 8,000 ich szkieletów.

(d. c. n.)

NIEZNAJOMA Z PODDASZA

powieść przez

Bronisławę Szorowską.

(Dalszy ciąg).

W tej chwili Antosia weszła do pokoju.

— Pan Borunt, czy wejść może — zapytała z pospiechem, gdyż nie było tu w zwyczaju, aby gość pytał o pozwolenie wejścia.

Pani Kuleszowa powstała szybko i wyszła naprzeciw wchodzącego.

Wyciągnęła ku niemu obie ręce, drżąc z tłumionych łez, był on teraz tak bardzo podobny do jej męża.

— Bracie! — wyrzekła tylko, gdyż dalsze słowa uwieźły jej w gardle.

On ujął obie jej ręce, przycisnął do ust i nie wstydził się łez gorących, które spływały z jego oczu.

Tyle wspomnień przeszłości stanęło przed nimi! tyle łez i nieszczęść, że nic dziwnego, iż słowa przemówić nie mogli. Czemże są słowa w takiej chwili?

Spojrzała na niego wzrokiem, w którym on wyczytał całą głębię smutku, który się tylko z życiem kończy.

Ale ten smutek ona musiała dziś zamknąć w duszy, nie mogła nim ranić tych serc zacnych, które ją tak przytuliły do siebie.

Zapanowała i teraz nad sobą! a po chwili tej niemej rozmowy, rzekła do niego głosem drżącym jeszcze nieco:

— Bracie, jakże Bóg dobry, że mi cię widzieć jeszcze pozwoli!

Nie, dodała, naturalnie, że stał on jej się teraz tak drogi przez szczególne podobieństwo do brata, którego nie tylko kochała ale uważała prawie, jako najszlachetniejszego, najlepszego człowieka, którego pamięć pozostała dla niej świętą.

Nie dodała i tego, że zdziwioną została, jak i kiedy ten młody, żywy, jak się zdawało, lekkiej natury młodzieniec mógł się zmienić w człowieka, na którego czole widniała myśl poważna, w którego oczach tlał ten sam blask szlachetny, który, jak myślała dotąd, był udziałem tylko jej męża.

Pan Borunt nie rzekł jeszcze słowa, był nadto wzruszony, poprowadził ją w głąb pokoju, posadził na fotelu, a całując raz jeszcze jej ręce, wymówił cichym głosem:

— Męczennico lat tyłu!

Wiedział od żony o stracie jej dzieci, o życiu, jakie prowadziła, poszukiwali jej, gdy zdobyli najkonieczniejszy fundusz do życia, ogłaszano w pismach aby im wskazano miejsce jej pobytu, ale daremnie. Ona pism nie czytywała, stosunków nie miała żadnych, tak więc ślad jej zaginął gdy się wyprowadziła z Warszawy. Później i Boruntowie zaprzestali energiczniejszego poszukiwania, nowe obowiązki, jego choroba kilkomiesięczna, zagładziły w pamięci niedolę opuszczonej kobiety; tak szło dalej i dalej, aż oto dziś, najniespodziewanie stało się to, czego pragnęli lat tyle. Po pierwszych słowach powitania pan Borunt rzekł, nie przyjmując podanego krzesła.

— Muszę spieszyć do żony, ona tam wyczekuje bardzo niecierpliwie wiadomości, czy Ada nie omyliła się w swem opowiadaniu.

— Żona pana przyjdzie za chwilę — rzekła pani Brzeska z uśmiechem — moja Wańdzia pobiegła po nią. Przecież to przyjaciółki z Adą, chociaż my, rodzice byliśmy sobie dotąd obcy.

— My przecie nigdzie nie bywamy — odrzekł pan Borunt — żona moja oddana wychowaniu dość licznej gromadki naszej dziatwy, rzadko kiedy ma chwilę wolnego czasu. Ja zaś — dodał z uśmiechem — w wolnych chwilach jestem kopretytorem starszych naszych dzieci, a bakałarzem młodszych, ot i życie płynie.

W tej chwili wbiegła prawie pani Boruntowa i z żywością nie rachującą się z formami światowemi, a co po niej odziedziczyła Ada, rzuciła się w objęcia pani Kuleszowej.

Ada w oczekiwaniu chwili, aby mogła powitać ciotkę, ścisnęła i całowała Wańdzę, Władka a nawet Biedusia, który lubił bardzo wesołą dziewczynkę.

— To szczęście, o jakim nie marzyłam — wołała z egzaltacją, całując kudłatą głowę pieszka — to takie szczęście, że go dusza moja objąć nie może!

— Nie wiedziałam — rzekł Władek — że pocałowanie Biedusia, nazywa się takim ogromnem szczęściem, że go aż dusza nie obejmuje.

Przyszła wreszcie kolej i na Adę; pani Kuleszowa z uczuciem przycisnęła ją do piersi, a dziewczynka rozplakała się z radości.

Trudno byłoby opisać tę rozmowę, przeplataną łzami niekiedy, które przynosiły jednak ulgę wezbranemu uczuciu.

W czasie rozmowy pan Borunt rzekł, zwracając się do pani Kuleszowej.

— My z żoną marzyliśmy o tem lata całe, że odnalezioną siostrę otoczyni u nas wygodami, na jakie nas stać tylko będzie.

— Nigdy! — krzyknęła przestraszona Wańdzia, zrywając się z miejsca i otaczając ramieniem ciotkę, jakby jej bronić chciała od jakiej napaści — nigdy! to moja własność, nie oddam jej nikomu za nic w świecie.



C z u k c z e .

Nowe, lzy i uściski, sprzeczką Wańdzi z Adą, która także rościła sobie jakieś prawa, wmieszał się i Władek, stając po stronie siostry naturalnie, szczerzył kilka razy i Bieduś widząc jakieś zamieszanie, aż pani Brzeska przecięła tę kwestyę.

— To już rzecz postanowiona stanowczo — rzekła, całując rękę pani Kuleszowej, nim ta ją cofnąć zdołała — my siostry od nas nie puścimy, już o to samo dopominała się matka nasza, a jednak daremnie, my już z sobą zawsze razem pozostaniemy.

— Będziemy się widywać codziennie — odezwał się pan Brzeski — odtąd stanowić będziemy jedną rodzinę.

— Snem mi się to wydaje — rzekła pani Kuleszowa ze smętnym uśmiechem — abym ja miała tyle serc życzliwych. Czem zasłużyłam na to? Tem więcej tu uwydatniają się wasze szlachetne dusze, wasza miłość wielka, święta, jaką Bóg chce widzieć w sercach ludzkich, o jakiej mówił św. Paweł, jak głosił ukochany uczeń Chrystusa Jan Ewangeli-

sta. Ach! jakże ja mało dotąd rozumiałam taką miłość! a jednak, ona to zbliża człowieka do Boga, ona to wynosi naturę ludzką ponad wszystkie twory żyjące. Zrozumiałam to teraz, gdy takie nieprzebrane skarby tej miłości znajduję w sercach waszych, ale też teraz dopiero pojmuję, jak niezasłużyłam niczem na tę miłość.

— Kochaj nas ciociu — szepnęła Wańdzia cichutko, pochylając się do ucha ciotki.

— O dziecię moje, czyż może być inaczej?

Jak przeszło kilka godzin w tem kółku zacnych ludzi, opisywać trudno, łatwiej to sobie wyobrazi każdy, w czyjem sercu tli taka iskra miłości bliźniego.

Czas upływał szybko, pani Kuleszowa z dniem każdym stawała się silniejszą, a o dalekiej podróży myślano już bez żadnej obawy.

Nadeszły wreszcie upragnione wakacje, Wańdzia otrzymała nagrodę, Władek promocję i pochwałę, gotowano się więc spiesznie do drogi, aby nie tracić czasu, tembardziej, że ciągle nadchodziły listy, jak tam niecierpliwie oczekiwano upragnionych gości.

Wańdzi wprowadzie kręciły się trochę łezki przy pożegnaniu z Biedusiem, który widocznie posmutniał, widząc jakieś niezwykle przygotowania w domu, ale Antosia tak serdecznie i szczerze zapewniała kochaną panienkę, że Biedusia będzie pilnować, jak oka w głowie, że mu będzie dogadzać i pieścić go, iż Wańdzia uspokoiła się zupełnie.

Bieduś rozumiał pewnie konieczność tego rozstania, bo gdy go ostatni raz pogłaskała i rzekła wesoło.

— Piesku! pojedziemy!

Piesek podskoczył radośnie, stracił smutną swą minę, co Wańdzię tak rozradowało, że aż Antosię uściskała, nie mogła się jednak powstrzymać od kilku słów napomnienia:

— Pamiętaj o nim Antosiu, a niech ma zawsze świeżą wodę w miseczce, mięsa mu dużo nie dawaj, on bardzo lubi kartofle z mlekiem, tych mu dawaj najwięcej.

— Dobrze panienko, dobrze, niech panienka będzie spokojna, albo to ja nie wiem, jaką on państwu oddał przysługę, pocziwy psina, wart przecie opieki.

I dobra dziewczyna głaskała psa, który za te pieszczoty odwdzięczał się radosnem skomleniem.

W chwili odjazdu, Wańdzia, kładąc kapelusz, mówiła jeszcze do Antosi:

— Widzisz Antosiu, gdyby nie Bieduś, nie byłibyśmy znaleźli naszej cioci, rozumiesz co by się stać mogło, strach pomyśleć!

— Rozumiem to — odpowiedziała Antosia poważnie — że gdyby nie panienki dobre serduszko, nie byłoby u nas Biedusia, ale panienka miała miłosierdzie i nad biednym psakiem, i Pan Bóg nagrodził.

— Ach Antosiu — rzekła dziewczynka, pomijając uwagę o sobie — żebyś ty wiedziała jaki on był głodny, to byłabyś mu oddała ostatni kawałek chleba. A wiesz, od tej pory, myśmy się z Adą więcej jeszcze pokochały.

Rozmowa przerwana została, czas był jechać, Wańdzia pożegnała serdecznie Antosię, uściskała swego kudłatego przyjaciela, który znów posmutniał, a mimo radości serduszko jej, ścisnęło się trochę żalem, wyjeżdżając z domu.

Siadając do powozu, zdążyła jeszcze raz szepnąć Antosi:

— Pamiętaj o Biedusiu.

— Niech panienka będzie zupełnie spokojną.

— Pożegnaj raz jeszcze Adę.

— Dobrze.

— A odwiedzaj Marcinową, ona biedaczka chora.

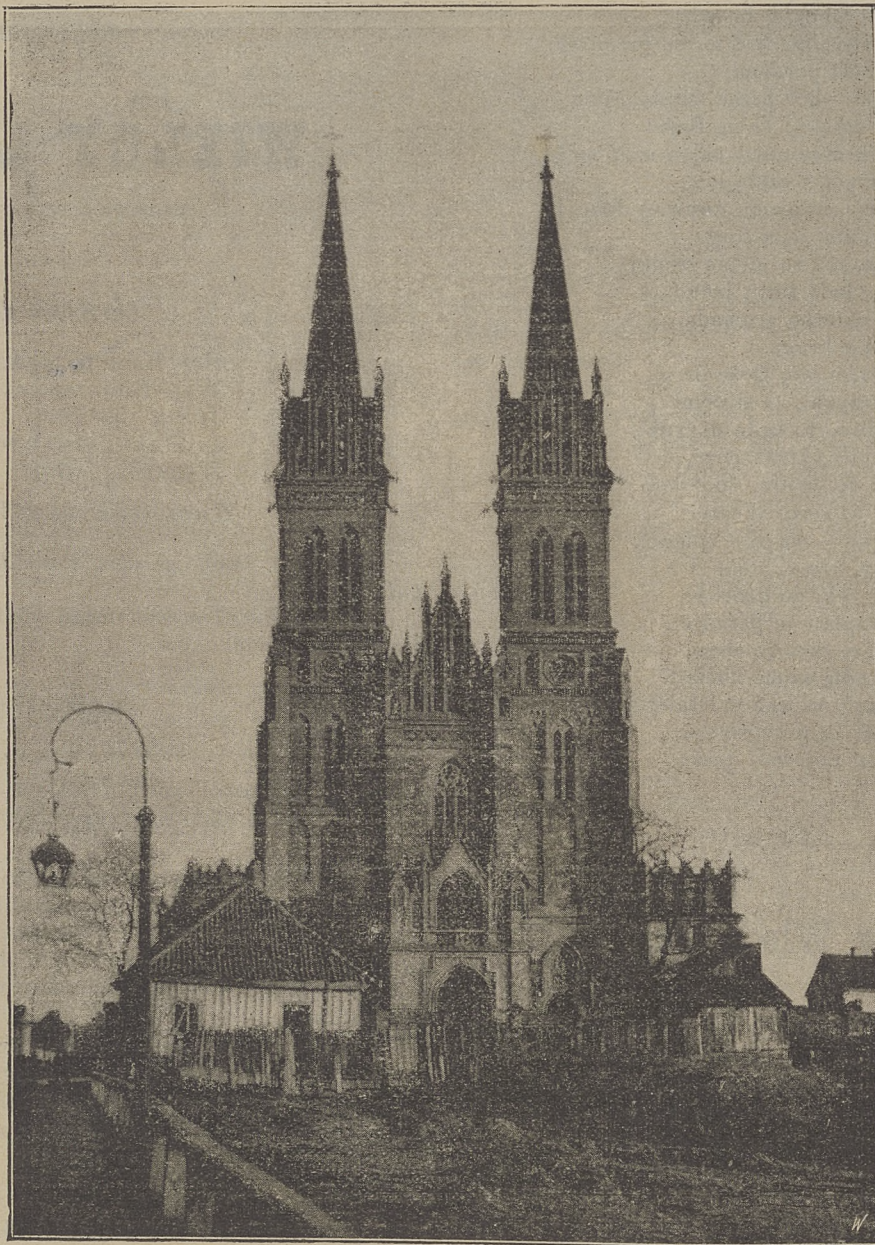
— Dobrze, dobrze, będę u niej parę razy na dzień.

Powóz ruszył, główka Wańdzi raz jeszcze wychyliła się z powozu, rączką przesłała całusa i raz jeszcze zawołała:

— Pamiętaj o Biedusiu!

Odpowiedź zagłuszył turkot powozu po bruku, Antosia patrzyła póki nie zniknął w hucznej ulicy, Bieduś ze spuszczoną smutnie głową poszedł do pokoju, a położywszy się na swej poduszce, cały dzień pierwszy jeść nie chciał, mimo, że dobra Antosia, podsuwała mu bardzo smaczne kąski.

(d. n.)



Katedra w Włocławku.

CZUKCZE.

Naród Czukczów, należy do dzikich plemion azyatyckich, upóźniej poznanych od Europejczyków, bo dopiero około 1642. Siedziby ich stożkowatego kształtu, rozłożone na najodleglejszym punkcie północno-wschodniej Azji, są o wiele mniej ozdobne niż owe piramidalne mrówiska, wznoszone

w gorących strefach przez termity. Główne pożywienie Czukczów stanowią ryby, obficie poławiane w wodach rzeki Anadyr, oraz mięso i krew reniferów.

Nie płacą nawet żadnych stale określonych podatków, lecz składają tylko dowolną daninę.

Dzielią się oni na dwa plemiona: koczownicze albo jełeniowe, zwane Czaukczu i osiadłe: Namkuli.

ŻNIWO.

(Piosnka na nutę krakowiaka).

Wybuchało zboże, dokoła, dokoła,
Dalej w pole chłopcy przepióreczka woła.
W pole gospodarze, parobcy, i dziewczki.
Bierzcie się do sierpów, boć to nie przelewki.
Wyruszajmy w pole godziną poranną,
By posprzątać żytko choć przed świętą Anną.
Kończy się przednówek, dziękuj Tobie Boże!
Już z nas każdy wkrótce nowy chleb mieć może.
Dalej, dalej żwawo, choć pot z czoła leci,
Jakaś chmura płynie, żwawiej, żwawiej dzieci!
Już związane snopy — jada, jada fura,
Prędsze nasze ręce, niż na niebie chmury.
Skrzypią wozy, skrzypią, jada fura, jada,
I my też za niemi calutką gromadą.
Napchane zasieki i wysokie brogi,
Będzie teraz chleba, o mój Boże drogi.
Dobrywajcie sukien ze skrzynki, ze skrzynki,
Jak skończymy żniwo, to będą dożynki.
Splecie przodownica wieniec, kiedy pora,
I poniesie państwu do dwora, do dwora.
A we dworze huczno, że aż serce skacze,
Będzie miodek, piwo i smaczne kołaczki.
Potem powiążemy kwiaty, kłosy, zioła
I poniesiem wonne pęki do kościoła.
W dzień Maryi Zielnej kapłan je poświęci,
Ofiarując Bogu nasze szczere chęci.
Potem pójdziem zasiał znów ozime zboże,
By je na rok przyszedł zebrać w letniej porze.
A gdy się zaruni zanim śnieg przypruszy,
Będziem się z całej radowali duszy.

E. I.

Katedra w Włocławku.

Odnowiona i w części przebudowana, obecnie katedra włocławska należy do najdawniejszych kościołów w kraju, sięgających początkami swemi pierwszych czasów zaprowadzenia u nas wiary chrześcijańskiej. Data założenia ginie we mgle wieków, według wszakże późniejszych danych, Onald biskup kruświcki miał tu przenieść stolicę swoją w 1157 r. Długi szereg następnych dostojników kościoła, przebudowywało wielokrotnie świątynię już to w całości, już częściowo, dodając jej nowe kaplice i wieże, w naszych zaś czasach odnawiać i przyozdabiać ją rozpoczął ksiądz biskup Popiel, dzisiejszy arcybiskup warszawski, którego dzieło wykończył następca jego na stolicę biskupią ks. biskup Bereśniewicz. Oprócz ozdób wewnętrznych jak nowe ołtarze, ambona, posadzka, okna kolorowe i t. p. na zewnątrz wzniesiono w miejscu starych spróchniałych, nowe mury, dostawiono szereg kaplic, kruchty, dach cały pokryto miedzianą blachą, przelano stary i sprawiono dzwon nowy, oraz naprawiono zniszczony zegar. Kronika kościelna przytacza, że w r. 1435 urządził na wieży katedralnej zegar, dziadek kościelny Wawrzyniec, kapituła zaś zobowiązała go, ażeby się zajmował dziełem swoim za roczną płacę z dwóch kop groszy ówczesnych. I zegary ówczesne, dzieła amatorów sztuki, nie potrzebowały widocznie wykwintniejszego obejścia, gdyż zegar ów następnie naprawiał i nakręcał ślusarz, pobierający za to 3 grzywny rocznej płacy, później zaś pełnił ten obowiązek za dwie grzywny jakiś kowal z ziemi sieradzkiej, aż w roku 1536 kupiono później nowy zegar w Toruniu, za którego nakręcanie mieszczaństwo pobierało sto złotych rocznie; do naprawy zaś

sprowadzano już to zegarmistrzów, już biegłego w sztuce, już zakonnik Cystersa z Sulejowa.

Katedra, którą jak jest obecnie przedstawia rycina nasza, odbudowaną została pod kierunkiem artystycznym budowniczego p. K. Wojciechowskiego, poświęcenie zaś jej uroczyste odbyło się w roku b. w dniu 10 maja, przy licznych napływie okolicznego ludu i duchowieństwa.

WIELCY LUDZIE

KOMEDYJKA W I-NYM AKCIE.

OSOBY:

PAN KAROL, nauczyciel.
WUJ BRONISŁAW.
JERZY lat 13
LORCIA „ 14 } rodzeństwo.
HANIA „ 6 }

Rzecz dzieje się w Warszawie.

Uwaga: Osoba grająca Pana Karola może razem grać rolę wujcia.

Pan Karol i wujcio mogą też być zastąpieni przez: Pannę Karolinę i Ciocię.

SCENA I.

PAN KAROL I JERZY.

(Scena przedstawia pokój do lekcyi. Pan Karol i Jerzy siedzą przy stole zajętym przyborami do nauki).

PAN KAROL (pokazuje w książce ołówkiem). Więć na jutro przygotujesz mi to tłumaczenie, które ci wyjaśniłem, na pamięć zaś powtarzanie geografii, z całego miesiąca. Weź się więc niezwłocznie do pracy. Jeżeli masz o co zapytać, to zrób to zaraz, bo ja wychodzę na miasto i wrócę dopiero wieczorem.

JERZY. Ja rozumiem wszystko proszę pana.
(Pan Karol wstaje i odchodzi, Jerzy patrzy za nim i nastluchuje; gdy odgłos kroków już umilkł, uderza cicho pięć razy ołówkiem o szklankę. Po chwili przez drugie drzwi zagląda Lorcja).

SCENA II.

JERZY, LORCIA.

LORCIA (widząc, że niema nauczyciela, wchodzi śmiało). Ach! Nareszcie!

JERZY. Nareszcie! dobrze tobie było czekać tylko, a mnie myślisz miło słuchać wyjaśnień niemieckiej gramatyki! Powiadam ci, nic mi ta nięszana deklinacja nie laża do głowy, myślałem o naszym projekcie, a on tu jak na złość, kazał powtórzyć to co mówił. Naturalnie nic nie wiedziałem i lekcyja przeciągała się bez końca, a ja o mało ze skóry nie wyskoczyłem! Ale zato teraz będzie spokój, bo wyjdzie na miasto, to nie będzie tu przychodził.

LORCIA. A to, to dobrze. A masz już co na myśli?

JERZY. Jeszcze nic, ale zdecydowany jestem wszystko zrobić, byle... A ty wymyśliłaś co przez ten czas?

LORCIA. Ja myślałam od samego obiadu, bo dziś nie mam lekcyi, ale strasznie trudno coś wynaleźć. Bo tak, przypomnijmy sobie: Czem się ludzie wsławiają?

JERZY. No... sztuki piękne... literatura, wojna, wszystko to do sławy prowadzi. No i różne wynalazki... i koniec.

LORCIA. No i jeszcze jakieś wielkie poświęcenie... np. życie swoje stracić dla uratowania innych, jak np. ten pan co ratował obcych ludzi w czasie powodzi... Ale to i trudne, ... mała pociecha; bo cóż człowiekowi po sławie, jak już nie żyje.

JERZY (*uderza energicznie łokciem o stół*). A ja jednak muszę być sławnym... choćby nie wiem co! I dotrzymam słowa! Podajmy sobie dłonie, siostró, (*podają sobie z powagą ręce*) i przyrzeknijmy, że nie spoczniemy, aż się staniemy sławni... (*z zapalem*). Słuchaj, w historii Rzymian czytałem, że laury... zdaje się Pompejusza nie dawały spać spokojnie Cesarowi. Otóż i mnie spać nie dają laury... wszystkich wielkich ludzi! Co to za rozkosz! Słyszeć, jak ludzie chwala mówią: to ten wielki człowiek!

LORCIA. Rzucają kwiaty...

JERZY. Ej... kwiaty, to chyba nie zawsze. Najwięcej tym, co ładnie śpiewają. Ach Lorciu! Żeby tak zaśpiewać, jak... Mierzwiński, lub Kochańska. Ty masz głos...

LORCIA (*smutno*). O, nie! Tyłuż ludzi śpiewa ładnie, choćby i moja nauczycielka, a nie są jeszcze sławni. To, to trudne. Ale wiesz? Żeby nie zniechęcić się i być pewnym, że słowa dotrzymamy, zróbmy tak, jak rycerze średniowieczni. Zróbmy jaki ślub...

JERZY. Ach! wyborna myśl! Np. jak ci rycerze z wojny 100 letniej. Ja tak zrobię jak oni! Zawiążę sobie oko ewe, i nie odwiążę, póki się czemś nie wsławię! (*Wyciąga kieszeni chustkę, składa ją i zawiązuje sobie oko, poczem idzie do lusterka, na komodzie stojącego, przygląda się sobie i poprawia potargane włosy*).

LORCIA. A to ja zawiążę prawe! Nie, coś innego! Ci rycerze to często robili ślub, że brody strzyż nie będą... otóż ja... (*uroczyście, z podniesioną do góry ręką bardzo powoli zaczyna*), otóż ja przysię... o, nie, nie godzi się! Obiecuję sobie, że nie zaplotę włosów, póki sławy nie zdobędę. (*Rozplata włosy, bierze od brata lusterko i układa je gładko*).

JERZY (*siada wygodnie na fotelu*). A teraz do dzieła. Więc czem się mamy wsławić?

LORCIA (*niecierpliwie*). Czemu! czemu! czy ja wiem! Pomysł sam. Sztuką nie; wynalazkami też nie!

JERZY. Czemu? To nie tak trudno, jak ci się zdaje.

LORCIA. A cóż my możemy wynaleźć? (*rachuje na palcach*). Telegrafy już są... elektryczne oświetlenie także... fotografie także...

JERZY (*śmiejąc się*). No i proch także, i dobrze, bo ty byś go z pewnością nie wynalazła. Pewno, że nie można wynaleźć tego co jest, tylko właśnie coś, czego niema. Ot... jakąś maszynę, na przykład! To trzeba tylko zrobić projekt, to jest powynisłać różne kółka, kółeczka, narysować to na papierze i pokazać. A ludzie robią to samo z metalu, i maszyna będzie się obracać.

LORCIA. A do czego ona będzie, ta maszyna?

JERZY. Otóż to, do czego. (*Opiera głowę na obu rękach, przyczem mu się chustka i włosy śmiesznie wykrzywają i turgają, Lorcja siada tak samo, po chwili oboje razem zrywają się i wołają*).

JERZY i LORCIA. Ach! wiem już!

JERZY i LORCIA (*znów razem*). Co ty wiesz?

JERZY i LORCIA (*znów razem*). Mów prędzej!

JERZY (*uderza w stół gwałtownie*). Toż nie porozumieamy się chyba nigdy! (*Oboje cichną, wreszcie Lorcja mówi*):

LORCIA. Ja myślę, że... maszyna do rachowania!

JERZY. O! to niepodobna! A ja myślę, że maszynę do pisania!

LORCIA. Już jest taka, co pisze drukiem, sama widziałam w biurze wujcia Bronia. A do rachowania...

JERZY. To to samo, co maszyna do myślenia, głupstwo! Chcesz, to sobie myśl nad tem, a ja nie będę. A co do maszyny wujcia, to taka wielka, niewygodna... a ja chcę wymyśleć, ot taką malutką, jak ta książka, żeby uczniowie mogli

nią pisać dyktówkę. Bo ileż razy słyszałem jak pan R., którego dzieci są słabowite, mówił, że pisanie to dla nich nie-szczęście. A tu, żeby była taka maszyna, to każdy uczeń tylko kręciłby korba, (*pokazuje kręcenie*) jak zabawką, a ona by szybko pisała.

LORCIA. A może doprawdy. I nie trzebaby było uczyć się kaligrafii, (*z westchnieniem*) i nie byłoby ciągłego łajania za złe pismo!

JERZY. Bądź spokojna. Ty byś dostała pierwszą maszynkę, i nazywałaby się Lorcja maszyna.

LORCIA (*uradowana*). Doprawdy? to ładnie. Ot i już by o mnie ludzie wiedzieli. A ty?

JERZY. A no! dalej będzie: „Wynalazku Jerzego R.”

LORCIA. Toż dopiero dzieci będą rade!

JERZY. Zwać mnie będą: „Dobroczyńcą młodzieży!”

LORCIA. Potem będą obchodzić twój jubileusz!

JERZY. O tak! tak! Musimy koniecznie wymyśleć tę maszynkę. A nie tylko dzieci z niej będą korzystać, a iluż to ludzi męczy się pisaniem w biurach! Ach, jak ją zrobię? jak? (*zamyśla się*).

LORCIA. W tem ci chyba nie pomogę; nic się nie znam na maszynach.

JERZY. Gdyby jaki wzór... Aha! Przynieś-no tę lalkę Hani, co to biega i podrzuca do góry wachlarz!

LORCIA. A... pocóż ci ona?

JERZY. Idź, proszę cię; ja nie mogę, bo boję się spotkać pana Karola, jeszcze nie wyszedł z domu.

(Lorcja wychodzi, Jerzy się zamyśla, drugimi drzwiami wchodzi pan Karol).

SCENA III.

JERZY, PAN KAROL.

PAN KAROL. Zapomniałem tu książki. Cóż Jerzy, jakże ci idzie tłumaczenie, bardzo trudne? Może czego nie rozumiesz? Ale? cóż to, bolą cię zęby?

JERZY (*zrywa się, przebudzony z zamyślenia, zdejmując z głowy chustkę, potem ją szybko znów zawiązuje i mówi bardzo zmieszany*). Ja... tłumaczenie...

PAN KAROL. No cóż? idzie dobrze? A ta chustka... bolą cię zęby? odpowiedz!

JERZY. Tłumaczenie... będzie gotowe, a zęby... tak... trochę... niby...

PAN KAROL (*bierze ze stołu książkę i wychodzi, mówiąc do siebie*). Co się dziś stało Jerzemu? Zwykle tak pilny... tymczasem widzę, że się nawet nie brał do zadania, a taki zmieszany! Zobaczymy! (*wychodzi*).

SCENA IV.

(Wchodzi Lorcja z Hanią, która niesie w ręku lalkę).

LORCIA. Nie chciała dać, sama przynosi.

JERZY. Ach! będzie hałasować i pan Karol posłysz.

HANIA. Nie będę Jureczku, nie będę; ja tylko chcę się popatrzeć, jak ty będziesz bawić się lalką (*smutnie*). Żąbki ciebie bolą?

JERZY. Tak. Ale cicho bądź, Hanusiu i daj mi na chwilkę twoją lalę. (*Bierze lalkę i otwiera deszczułkę od podstawki*).

HANIA (*przerażona*). Ach!

JERZY. Nie bój się! (*z westchnieniem*). Cały mechanizm w lalce, tu tylko dwa kółeczka! Masz małą, już się nie bawię. (*Oddaje lalkę; Hania odchodzi z nią, spada w kącieku sceny na stołeczku i kołysze ją w ciągu tego aktu, może u wyjść i powrócić znów*).

JERZY. Aha, wiem (*stanowczym głosem*) Lorciu, przynieś mi twój zegarek!

LORCIA. O! Jerzy! (*stoi chwilę*).

JERZY. No, cóż, idziesz? (*Lorcja wychodzi i wraca po chwili z pudełeczkiem*).

LORCIA. Tylko mój Jurku, proszę...

JERZY. Daj! (*bierze zegarek, otwiera kopertę i przypatra się mechanizmowi ze ściągniętymi brwiami. Lorcja patrzy mu przez ramie*).

JERZY. Daj mi szpilkę!

LORCIA (*przecząco*). O, Jurku!

JERZY (*rozkazująco*). Haniu, przynies mi, proszę cię, szpilkę!

LORCIA. No, już masz! Tylko...

JERZY (*jak wyżej*). Nie przeszkadzaj! (*półgłosem*) ta sprężyna rozkręca się, i porusza to kółko, to znów zębami zaczepia o tamto, a potem to się rusza i wskazówkę posuwa... Tylko nie wiem, czy to mogłoby pisać... A najprzód, jak ją zatrzymać, gdy raz puści się w ruch? Zatrzymać to kółko! (*Wsuwa igłę w zegarek, daje się słyszeć cichy trzask, Lorcja woła: ach! chwytając zegarek przypatruje się i wybucha płaczem*).

LORCIA. Zepsuty! nie idzie!

JERZY (*zmieszany*). Nie płacz, Lorcju; to tylko pękła sprężyna, ale to nic, doprawdy nic. Mam zaoszczędzonych 3 rs.; sam zaniosę do zegarmistrza i naprawi. No! nie bądź dzieckiem! (*Odrywa jej rękę od twarzy, Lorcja ociera łzy chusteczką, Jerzy patrzy na zegar ścienny*). Ach! ale już 7-ma a tu ani wynalazku, ani zadania!

LORCIA (*jeszcze zdławionym głosem*). Co tam zadanie? Jak będziesz sławny, to ci pan Karol przebaczy! Ale cóż, wiesz jak zrobić maszynkę?

JERZY. Wiesz, to będzie bardzo trudno. Możebym i wymyślił, ale na to trzeba bardzo dużo czasu, a my go nie mamy; ledwieśmy dziś wykreślił się od spaceru i lekcji! Probuje my co innego. (*Zamyślają się oboje, wreszcie Jerzy wyciąga się i ziewa*). Ha! ciężka to rzecz, praca myśli!

(d. n.)

ZABAWA W POLOWANIE.

W łowy bawić się najlepiej w okolicy, gdzie rośnie dużo drzew, krzaków, gdzie są wzgórza i wąwozy, w których łatwo można się ukrywać. Przedewszystkiem oznaczone być musi miejsce, gdzie się ma odhyć zabawa; z jednej strony ścieżką lub rowem, z drugiej pagórkiem potrzebnym do polowania, powinno mieć sto kroków szerokości mniej więcej; długość zaś im większa tem lepiej. Granice jednak trzeba oznaczyć koniecznie, gdyż inaczej całe towarzystwo mogłoby się rozproszyc. Bawiący się muszą być liczni, najmniej dwunastu chłopców, gdyż inaczej gra nie będzie miała życia.

Najszybszy biegacz obrany jest wielkim łowczym i dostaje róg lub trąbkę, którą od czasu do czasu musi dawać sygnały. Sygnały te każdy z towarzyszy musi doskonale rozumieć. Wszyscy inni zresztą przedstawiają zwierzynę.

Ustawiają się na początku wytkniętego, oznaczonego granicami miejsca. Tu wielki łowczy daje znak, trąbiąc — i w mgnieniu oka wszystka zwierzyna wybiega naprzód i pędzić zaczyna z całych sił. Łowczy rzuca się za nią i stara się czempredziej złapać kogo; wyteża wszystkie siły, używa podstępów, bo czuje, że tylko póki zwierzyna jeszcze się nie rozbiegła i nie oddaliła się bardzo, udać mu się to może, každy, którego dogoni i dotknie się tylko ze zwierzyny, zmienia się w myśliwego i staje przy nim. Tym sposobem zdobywa on sobie wkrótce dwóch, trzech, czterech pomocników, którzy z nim razem polują na innych. Ponieważ każdy nowo złapany przeistacza się w myśliwego, liczba tych ostatnich ciągle się zwiększa. Zwierzyna zaś uciekająca nie może wiedzieć kto tym sposobem stał się jej nieprzyjacielem, więc nowi myśliwi muszą być w jakiś sposób odznaczeni np. chustką obwiązuje im się prawe ramie.

Zwierzyna robi, co może, by nie dać się upolować; ucieka co sił starczy naprzód, ukrywa się w wąwozach, za grębami, za pniami drzew, wciska się w gęszcze leśne, kładzie się na ziemi wśród trawy, w zagłębieniach, wśród krzaków, starając się jak najciszej oddychać, na czworakach przebywa niebezpieczne miejsca, gdzie mogłaby być widziana w stojącej postawie; pelza po ziemi, by się wymknąć goniącym, lub wysledzić, gdzie się znajdują myśliwi, z uchem przy ziemi bada najlżejsze odgłosy, podstępne kroki czającej się pogoń, mruga na towarzyszy, oznajmiając im zbliżające się niebezpieczeństwo. Przebiega z szybkością błyskawicy olbrzymie przestrzenie i przesadza rowy.

Każdy zaś myśliwy nateża całą swą chytryść, aby jak najwięcej zwierzyny upolować. Wszyscy słuchają rozkazów wielkiego łowczego, który od czasu do czasu odgłosem rogu zwołuje ich wkoło siebie, by dać nowe rozkazy, np. jakiemi drogami mają się rozbiegać, by zwierzynę podejść i ze wszystkich stron zaskoczyć. Każdy stara się zbliżyć niepostrzeżenie do zwierzyny, każdy przetrząsa gęszcze, przeszukuje jaskinie, wąwozy, spróchniałe wewnątrz grube pnie drzew starych, każdy łowi uchem, czy nie słyhać jakiego szmeru, czy się kto nie rusza, a gdy zwierzyna niespodziewanie skąd wyskoczy, mknie w pogoń za nią, przez rowy, pniaki i kamienie.

W ten sposób idzie polowanie przez cały rewir, od początku do końca wyznaczonego miejsca, gdzie najzaciętsze toczą się łowy, szczególnie jeśli miejscowość jest górzysta i posiada dużo kryjówek. Jeśli jeszcze nie wszystka zwierzyna jest wyłapana, myśliwi przebiegają rewir powtórnie, wracając się znów od początku. Tu kończy się gra. Każdy, który sprytem, szybkim biegiem, ukrywaniem się do ostatniej chwili bronił się, nie wpadł w ręce myśliwych i przy powrocie oczekuje na nich przy początku rewiru, jest wolnym i ma chwałę odniesionego zwycięstwa. Ten zaś, który w ucieczce przestąpił wyznaczone granice, zgubiony jest, stracił wolność i staje się wielkim łowczym. Gra rozpocząć się może na nowo.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Życie w oceanie przez dr. M. Stefanowską (z drzew.) — Nieznajoma z poddasza, powieść przez Bronisławę Porawską. — Czukczek (z drzew.) — Żołnierz, wiersz przez E. L. — Katedra włocławska (z drzew.) — Wielcy ludzie, komedycja w I-nym akcie. — Zabawa w polowanie. — Dodatek: Przegląd floty (z drzew.) — W ogrodzie, wiersz przez H. B. — Kominiarczyk przez A. R. — Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich, przełożyła M. B. — Łamigłówni, rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Orla skała, powieść miss K. Yonge przekład T. O.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 29 Іюня 1896 г.

Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE



PRZEGLĄD FLOTY NA MORZU.

Zbrojne pancerniki, torpedowce i łodzie ratunkowe, oto prawdziwie lilipucia flota, której przegląd mamy zamiar dziś urządzić, ku waszej zabawie.

Przedewszystkiem postarajmy się o spore bryłki zwyczajnej kredy, nadając jej scyzorykiem kształty łodzi i okrętów, bacząc jednak, aby ich spód był płaski. Cienkie drewnianki lub zużyte zapalki, dadzą się łatwo w miękkiej kredzie umieścić, jako kominy parowców, oraz maszty, do których przyklejmy żagle z białej bibułki, z kolorowej zaś chorągiewki. Aby nadać kredzie barwę szarawą, właściwą statkom wojennym, wystarcza pomazać ją lekko zwyczajnym atramentem, nieco zaś mocniej narysować piórkiem pokład, drzwi, luki i t. d. Dla urozmaicenia możemy flagom nadać barwy przyjęte przez jakiekolwiek dwa państwa i ustawić je na obszernym półmisku naprzeciw siebie, niby dwie przeciwne sobie siły. Gdy już tak wszystko jest przygotowane, nalejmy ostrożnie na tenże półmisek zwyczajnego octu, tyle, aby całe dno naczynia pokryte zostało, a niebawem spostrzeżemy, że każdy ze statków zaczyna się ruszać, zmieniać pozycję, zbliżać gwałtownie jeden do drugiego na wzburzonych falach miniaturowego naszego oceanu; słowem powstaje zamęt, jaki zwykle panuje w wypadkach walki na morzu.

Przyznajcie sami, że widok może być ciekawym, a wytłomaczenie małego tego doświadczenia jest bardzo prostem, kreda bowiem w zetknięciu z octem rozkłada się, wytwarzając kwas węglowy, który wydzieła się pod postacią drobnych pęcherzyków, te zaś rozpryskując się, wzburzają cały płyn i poruszają gwałtownie drobne nasze statki.

W OGRODZIE.

Sliczna pogoda, słońeczko świeci,
Więc też w ogrodzie zeszły się dzieci.
— Będzie zabawa! — każde powiada
— Będzie zabawa i to nielada!
Jest tylu chłopców, panienek tyle,
Będą wesoło płynęły chwile.
Lecz w co się bawić? Tu spór się wszczyna
— Ja chcę „w chowanki” woła Halina,
Ja wolę „w lisa” Stefanek powie.
— E! co za pomysł powstał w twej głowie
Lepsze „komórki” albo „pierścionek”!
Woła z zapalem mały Leonek.
— Kto się „w pierścionek” bawi w ogrodzie?
„Komórki” także nie są już w modzie.
Zróbmy wysigigi!

— Czyśmy to konie?!

Co ci za pomysł przyszedł Zenonie?
— Więc może „w łapki”? pyta się Lolo.
— E!... od gry takiej to ręce bolą.
— „W kotka i myszkę” Celinka wtrąca.
— E! to zabawa nadto męcząca,
— Niech będzie szkoła! Wańdzia znów radzi.
To się niebardzo podoba Jadzi.
Na takich sporach zeszły godziny,
Dzieci już mają znudzone miny;
Z błogą uciechą szły do ogrodu,
Ale doznały tylko zawodu,
Było dość sprzeczek, hałasu, wrzawy,
Lecz nie zaczęto żadnej zabawy.
Gdzie niema zgody zawsze tak bywa
I niewesoło czas wtedy spływa.

II. B.

KOMINIARCZYK.

W pewnem dużem mieście żyło dwoje dzieci, były to biedne sieroty, chłopcy, na dwóch mieli tylko jedną parę butów.

Pracowali u kominiarza, zarabiali na życie, wymiatając kominy. Pragnęli bardzo chodzić do szkoły niedzielnej, jak ich towarzysze, aby się czegoś nauczyć.

Ale jakże iść do szkoły boso?

Ponieważ jednak bardzo chcieli, więc poradzili sobie w taki sposób: ubierali się w buty po kolei, i co drugą niedzielę każdy był w szkole.

Nauczyciel zauważył, że nigdy nie są w klasie razem.

— Gdzież twój brat? — zapytał raz jednego.

— Mój brat czeka w domu, aż mu odniosę buty, a odniosę je wtedy dopiero, gdy się skończy lekcya. Opo-

wiem mu wszystko co słyszałem, a to będzie prawie tak, jak gdybyśmy obydwaj byli w szkole.

Na drugą niedzielę przyjdzie kolej na niego.

Nauczyciel pogładził jasne włosy chłopca i pochwalił ich chęć do nauki.

Są dzieci, które zmuszać trzeba, aby szły do szkoły, jakżeby takim zazdrościli dwaj kominiarczyki, o których czytaliście dopiero.

A. R.

Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich.

przełożyła M. B.

(Dalszy ciąg).

Pierwsza jej myśl była o Iwonku... Oczy chłopczy-ny były otwarte, ale twarz jego sina, zmęczona, nie pozwałała wątpić o chorobie... Nachyliła się nad nim, by go ucałować.

— Jak ci jest mój pieszczošku?

Nic nie odpowiedział.

— Powiedz co do mnie... — prosiła Melcia.

— Tak mnie męczy mówienie...

— Trzeba będzie jednakże zrobić wysiłek i dowieść się do jakiegoś domu.

— Nie mogę iść.

— Lecz tu pozostać nie można, rozchorujesz się...

Czyż mam ci dać tu umrzeć? — zapytała bliska już rozpacz.

— Umrzec tu czy gdzieindziej... wszystko to jedno...

— Wiesz przecie, że nie pozostawię cię bez pomocy, sama pójdę jej szukać...

— Jeżeli mnie opuścisz, to nie znajdziesz mnie już tutaj.

— Gdzież będziesz?

— Pofrunę ze straszną sową dzisiejszej nocy, która tu przyjdzie mnie porwać.

— Toś ty ją dziś słyszał?

— Tak, słyszałem, ale daj mi pokój, męczysz mnie.

Mały stracił przytomność, musiał więc być bardzo chorym! Jak mu pomódz, co robić? Wkoło las i cisza...

— Pić... — szepnęła Iwonek.

Melcia nie miała czem ugasić jego pragnienia! Chciała wstać, ale rozmiękła ziemia, wklęśła pod ich podwójnym ciężarem, woda zaczynała napływać, dosięgała nóg Iwonka.

— Pić mi się chce... — powtórzył...

— Mój Boże!... co się z nami stanie? — zajęczała siostrzyczka.

Przy deskach leżał stos cały wiór i trocin. Melcia postanowiła urządzić z nich nieco suchsze posłanie dla braciszka. Powstała, ale Iwonek wnet uczepił się jej sukni.

— Zostań, zostań, ja nie chcę — zawołał.

— Ja nie odchodzę, przyniosę ci tylko suchych trocin. To bliźiutko stąd i będziesz mnie ciągle widział.

Pocziwa dziewczynka odwiązała spódniczkę i położyła ją pod braciszka. Została jej druga spódniczka i fartuszek.

Zaczęła nabierać trocin do fartuszka i nosiła je do budki, aż się ułożyło dla Iwonka posłanie dość obszerne i wyższe nad poziom wody. Wzięła wtedy Iwonek pod pachy i rozciągnęła go na tem posłaniu, jak na łóżku.

— Ach! lepiej mi — westchnął malec — ale pić mi się chce strasznie!

— A może jest tu gdzie strumyk w pobliżu? — rzekła Melcia, i widząc, że Iwonek zamknął oczy na chwilę, wyszła z budki. Pierwszą rzeczą, którą spostrzegła, był kos zabity przez sowę.

Biedne stworzenie! Głowę miał strzaskaną uderzeniem potężnego dzioba i piórka wydarte na grzbiecie.. Melcia zapóźno się odezwała i nie ocaliła mu życia; był pewnie taki wesół wczoraj ze swoim żółtym dziobkiem i czarnymi, błyszczącymi oczami. Ta niewinna ofiara robiła na Melci wrażenie jej Iwonka, zbłąkanego w lesie, leżącego chorym bez żadnej pomocy, zdala od rodzinnej strony i od swego domu... wszak ich tu z pewnością nikt nie odnajdzie wśród tylu drzew, lub odnajdzie zapóźno, a zresztą któżby ich tu szukał i poznał...

— Tak, tym razem jesteśmy zgubieni naprawdę — powiedziała sobie dziewczynka, i łzy kropliste polały się jej z oczu. Płacząc jednak, szukała wody czystej dla braciszka. Ale strumyka nie było ani śladu, więc wróciła z pustymi rękami... Iwonek spał.

Było już koło dziewiątej. Ptaszki szczebiotały wśród liści, wiewiórki przeskakiwały z gałązki na gałąź. Melcia czuła się dziwnie osłabioną; spódniczka mokra, zimna, przylegała do nóg i przeszkadzała w chodzeniu. Zaczęła przysłuchiwać się szmerom leśnym i nagle usłyszała daleki turkot powozu na drodze, przechodzącej w oddaleniu mniej więcej sześćdziesięciu kroków od ich budki.

— Iwonku! wstawaj, wstawaj prędko — zawołała — będziemy ocaleni, chodź, chodź tylko!

I wstrząsnęła braciszkiem żeby go postawić na nogi.

Dziecko było blade, jak śmierć; starało się podnieść, ale nóżki chwiały się pod niem... Tymczasem powóz się zbliżał i turkot słyhać było coraz wyraźniej.

— Jeżeli nie wybiegniemy w porę — pomyślała Melcia — umrzemy do wieczora. Uklękła tyłem do brata i rzekła:

— Podaj mi ręce, Iwonku i obejmij silnie za szyję.

W ten sposób wciągnęła braciszka na plecy i nogi jego założyła dokoła siebie. Sama schwyciwszy rękami za rosnące blisko drzewo, podniosła się i zwróciła w stronę drogi.

Biedna Melcia! Przebiecz te kilkadziesiąt kroków z Iwonkiem na plecach było dla niej przed niedawnym czasem zabawką, ale teraz jakże była słabą! Potykała się za każdym krokiem pod swym drogim ciężarem i musiała chwycić się drzew, żeby nie upaść. Powóz nie był już daleko; wnet się ukaże na skrócie drogi. Wielki Boże! czyżby Melcia miała się spóźnić.

Zadyszana, czując zawrót w głowie, biedaczka zebrała resztki sił i, widząc nadjeżdżający powóz, przeskoczyła przez rów i wybiegła na środek drogi. Tam wy-

czerpana, upadła, a koło niej upadł Iwonek zemdłały, jak siostra.

— Z drogi! z drogi! — zawołał młody chłopiec, powożący wykwinłym amerykańcem.

Lecz dzieci nie wstawały, pędzący szybkim kłusem koń, już je miał strutować. Wówczas starszy pan, siedzący obok młodego, chwycił za lejce i silnem, pewnem pociągnięciem osadził konia na miejscu. Stało się to w samą porę, bo nogi konia były zaledwie o kilka cali, od leżących na drodze dzieci.

Młodzieniec zeskoczył szybko, za nim podążył służący Murzyn, który siedział na tylnym siedzeniu, i cofnął konia. Wreszcie starszy pan zsiadł także.

— Co to ma znaczyć? — zapytał — jacy to ludzie?

— To dwoje dzieci, wujaszku, wydają się martwi, tacy bladzi!...

Na to wuj wydobył z kieszeni małą buteleczkę i spiesznie nalał dzieciom do ust po kilka kropel wódki i wódką także zwilżył im skronie. Dziewczynka otworzyła oczy i szepnęła:

— Ratujcie braciszka!

— Ruszajmy prędko do domu — zawołał pan. — Ty Jo, (Jo był to służący Murzyn) połóż dziewczynkę u naszych nóg, a sam weź chłopczyka.

W kwadrans później, amerykańczak zajechał przed pałac i dzieci odniesiono do kuchni, gdzie na kominie palił się jasny, ciepły ogień.

— Proszę zawołać pannę Hortensję — rzekł stary pan — niech przyniesie tu kołdry, a ty, Katarzyno, rozbierz te biedactwa i rozetrzyj porządnie... Jo! zajmij się chłopczykiem...

Jak tylko Melcia poczuła ożywcze ciepło, odzyskała przytomność, nie chciała jednak żeby się nią zajmowano, zanim ocucą braciszka. Ten leżał na kolanach Murzyna z zamkniętymi oczyma, jak nieżywy.

Ale siostrze wróciła dawna energia; zaczęła zdejmować z Iwonka zabłocone i wilgotne ubranie, a nogi jego zimne jak lód przysuwała do ognia. W tej chwili nadbiegła z kołdrami jakaś pani o siwych włosach w koronkowym czepeczku na głowie.

— Ach! niech go pani ogrzeje! — prosiła Melcia, i skończywszy rozbieranie braciszka zawinęła go w ciepłą kołdrę... Iwonek otworzył oczy...

— Jesteś tu, Melciu? — zapytał cichym, osłabionym głosem.

— Jestem, mój najdroższy, czy lepiej ci?

— Ciepło mi, ale straszne mam pragnienie.

— Czego on chce? — rzekł chłopiec, który nie dosłyszał słów Iwonka.

— Chce pić i jeść, bo nic nie jadł od wczoraj rano...

— Biedny mały! — szepnęła panna Hortensja — Kasiu, ugotuj natychmiast bulionu, a ja przygotuję grzanego wina z cukrem.

— O, dzięki... — rzekła Melcia, która podtrzymywała głowę braciszka... kiedy bulion był gotowy, sama zbliżyła filiżankę do ust Iwonka. — Pij, kochanku, to ci ulgę sprawi, i w istocie chłopczyk połykał bulion z uśmiechem. Dostaniesz jeszcze grzanego słodkiego wina, nigdyś go nie pił, ale będzie ci smakowało, jestem pewną; ojciec mówił, że to doskonała rzecz.

— A ty, mała, czyś co jadła sama dzisiaj, że o nic nie prosisz? — rzekł sam gospodarz, pan Dumany.

— Nie, proszę pana — odpowiedziała — ale mnie nie potrzeba nic więcej nad kawałek chleba i trochę wody; a pan wygląda na tak miłosiernego, że mi tego nie odmówi, gdy mój braciszek odzyska już siły.

— Dadzą ci zaraz ciepłej zupy, którą niosą właśnie z kuchni czeladnej, czy tylko czujesz się na siłach do jedzenia natychmiast?

— O, tak panie! zdaje mi się, że Iwonek zjadłby także, umierał z głodu i zimna... chory nie jest. Ot, nawet już lepiej wygląda po wypiciu bulionu!

— No, a teraz moja dziewczynko, musisz i ty za przykładem brata zmienić przemokłe ubranie, bo inaczej mogłabyś się rozchorować z przeziębienia — rzekła panna Hortensja, gospodyni w Landes.

— Ale kiedy ja nic nie mam na zmianę — odrzekła Melcia zawstydzona swem ubóstwem.

— Jeden z naszych służących ma jedenaścioro dzieci, pożyczę od niego sukienkę jednej z córek, a tymczasem twoją każę uprać i odświeżyć...

— Ja umiem pracować i prasować proszę pani i sama mogę to zrobić.

Tymczasem kucharka przyniosła talerz zupy i stawiając go przed Melcią rzekła:

— Skosztuj, kochanko, będzie ci smakować...

Iwonek poczuł odrazu apetyczny zapach zupy cebulowej i chcąc jej pokosztować wraz z Melcią, odwrócił się by poprosić o łyżkę, nagle ujrzał za sobą czarną twarz Murzyna i przerażony sądząc, że to dyabeł w swej własnej osobie pokazał się mu, począł krzyczeć przeraźliwie:

— Co ci się stało? — zapytała siostra.

— Och Melciu! ratuj! — wołał Iwonek, kryjąc głowę na jej ramieniu.

— Ale cóż ci jest?

— Dyabeł czarny stoi za mną, to straszne!...

— Ależ to Murzyn... Widziałam raz Murzynów na statku, jeszcze za życia ojca.

— Jam ich nigdy nie widział, nigdy a nigdy...

— Ale ojciec opowiadał ci o nich nieraz i o kraju, w którym mieszkają, jak tam gorąco i jakie tam są węże ogromne...

Dalej Melcia nie miała ochoty rozmawiać, zabrała się do jedzenia.

— No, nie płacz już i skosztuj zupy — radziła Iwonkowi.

Dzieci, wypoczęte i nasycone, poczęły rozmawiać z sobą jak zwykle, obecni przysłuchiwali im się z uśmiechem. A sam pan widząc, że Iwonek, nie zupełnie jeszcze przekonany, od czasu do czasu z niedowierzaniem spogląda na Murzyna, rzekł, śmiejąc się.

— Jo, zatańcz-no troszkę „bambula”, by się chłopczyk przestał ciebie lękać.

Pocciwy Jo bez chwili namysłu począł skakać tak śmiesznie, otwierając przytem szerokie usta pełne białych zębów, że Iwonek roześmiał się na całe gardło.

— Gdybym był ubrany, mógłbym z tobą potańczyć — rzekł, zwracając się do Murzyna — ale ubrania nie mam i już żal mi zostawić.

Gdy talerz był już próżny, Melcia podeszła do starego pana i patrząc nań z wdzięcznością, rzekła:

— Dziękuję panu bardzo, jak tylko ubranie nasze wyschnie, pójdziemy w dalszą drogę.

W tej chwili weszła panna Hortensya, niosąc flanelową kraciastą spódniczkę i czarny stanik dla Melci, ubranie dla Iwonka i dwie pary pantofli.

— Chodźcie dzieci ze mną do pralni, kazałam tam przygotować ciepłej wody, musicie się porządnie umyć a dopiero później dam wam czyste ubranie.

Iwonek poprosił Melcię po cichutku by wyjęła chustkę z kieszeni jego brudnej bluzki, sam owinięty w kołdrę nie mógł kroku postąpić. Jo przybliżył się do niego i bojąc się przerazić go znowu, zapytał nieśmiało:

— Czy chcesz abym cię podniósł?

— Dobrze! — odrzekł Iwonek po chwilce wahania.

Jo wzięwszy go na ręce, okręcił się kilka razy po pokoju w zabawnych podskokach. Pierwsze lody były przełamane, przyjaźń między Murzynem a chłopczykiem zawiązana, Iwonek zapomniał o przygotowanej kąpeli, z chęcią oddałby się zabawie, ale go Melcia przywołała do porządku.

Panna Hortensya sama umyła Iwonka, ubrała w pożyczone czyste odzienie i oddała w opiekę Murzynowi. Gdy wyszli, Melcia weszła do kąpeli.

Ach, z jakąż rozkoszą myślała, że będzie czysta, pozbędzie się tej warstwy kurzu i błota nagromadzonego przez drogę. Dostanie czystą bieliznę, taką świeżą i nasyconą zapachem lawendy... panna Hortensya była taka dobra!

(d. c. n.)

SZARADA.

E. M.

Pierwsze, trzecie litera, drugim zboża niwa;
Pokojowa roślina *wszystkiem* się nazywa;
Jej kwiaty różnobarwne zwieszają się nisko
Powszechnie znana, liczy do stu odmian blisko.

ZAGADKA.

Ułan z T.

Znajdziesz mię w Kamie lecz nie szukaj w Woldze
Ma mię też marzec, ale niema wrzesień.

Ujrysz mię w rękach, nie odnajdziesz w nodze
Choć ma mię lato, ale nie zna jesień.

KWADRAT MAGICZNY.

ułożyli Sokoły.

a	a	a	a
o	o	e	e
l	l	p	r
z	z	w	w

Ziemia niezarośnięta drzewami.

Spójnik.

Masa wulkaniczna.

Postać biblijna.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 27-go:

Szarady: E — fo — ro — wie.

Łamigłówki sylabowej:

1) Jura. 2) Orysa*h*. 3) Anczyc. 4) Cerigo. 5) Huron.
6) Inaczej. 7) Mazepa. 8) Linz. 9) Enos. 10) Lunevil. 11) Ebro. 12) Weber. 13) Era. 14) Lulek.

Joachim Lelewel Karol Szajnocha.

Kwadratu magicznego:

ka	na	pa
na	ra	da
pa	da	lec

Skrzynka do listów.

Henrysiowi E. w Oranienbaumie. Czytając zadość życzeniu kochanego naszego korespondenta i jego siostry Marysieńki, najchętniej przesyłać będziemy Wieczory pod wskazanym adresem, życząc, aby lato upłynęło im najprzyjemniej w nowej siedzibie. Prosimy o odwiedzenie naszej Redakcyi za bytnością w Warszawie, a tymczasem o zgłaszanie się do nas niekiedy listownie i podziękowanie mamie za łaskawe dla nas wyrazy. Uznanie podobne dobrych chęci i pracy naszej jest dla nas najmiłą nagrodą nieodłącznych od niej trudów, zachowamy je przeto we wdzięcznej pamięci.

Życzenia *Tadzia L.* spełnione będą, otrzyma początek żądanej powieści, a przesyłając dalsze numera Wieczorów, zastosujemy się do wskazanego w liście adresu; łamigłówka nie nadaje się do druku.

List twój *Niedźwiedziu* z O. niewątpliwie nie doszedł mnie, inaczej chociażby z obowiązku towarzyskiej uprzejmości byłabym spełniła dane mi zlecenie.

Ciesząc się, że dla was młodzi czytelnicy, po całorocznej pracy chwile wakacyi będą chwilami wytchnienia i wypoczynku, wasza mała ptaszyna zapragnęła również swobody i ciszy wiejskiej, wśród cieniastych ogrodów i woniejących kwiatów. Odtąd więc *przez wakacje* z listami i pytaniami waszemi zechciejcie się zwracać wprost do Redakcyi, która chętnie żądanych wskazówek udzieli podczas gdy ja wędrować będę na skrzydłach w różne strony świata na wschód i zachód, na północ i południe, wszędzie gdzie znajdę dobre serduszką i wesołe twarzyczki uśmiechające się przyjaźnie do życzliwej im

Jaskółki.